

Maurice Leblanc.

## Tajemnicze Dokumenty.

25

(Ciąg dalszy).

Dziwna obłąkana, nieodpowiedzialna za swoje morderstwa, a jednak tak trzeźwa w swym zaślepieniu! tak logiczna w swym pomieszaniu jestestwa i tak inteligentna w obłądzeniu! Jakież wyrachowania, jakie kombinacje wstrętne zarazem i wspaniałe snuć ona umiała!

I Lupin w nagłym widzeniu, niezwykle bystrością wzroku przejrzał cały ciąg tych przygód krwawych, odgadł tajemnicze ścieżki, które kroczyła Dolores.

Widział ją — urzeczoną i opętaną projektem męża, projektem, który oczywiście częściowo tylko znała. Widział, jak i ona poszukuje tego Piotra Leduca, którego i mąż jej gonił, jak i ona go poszukuje, by zostać jego żoną i wrócić, jako księżna panująca, do tego Veldenz, skąd ród jej sromotnie wygnano.

I widział ją w Palace-Hotelu, w pokoju brata Altenheima, wtedy, gdy sądzono, że ona jest w Monte Carlo. Widział ją całymi dniami szpiegującą męża, posuwającą się wzdłuż ścian, niknącą w ciemnościach, niewidzialną, niedostrzegalną w cieniu.

A oto pewnej nocy zastała Kesselbacha skrepowanego i zadała cios...

Rankiem zaś, gdy groziło jej, że kelner ją wyda, uderzyła znów.

I w godzinę później, wobec tego, że Chapman mógł ją zadenuncjować, wciągnęła go do pokoju brata i także go zabiła.

A za każdym razem bez litości, dziko, z szatańską złością...

I z tą samą złością znosiła się przez telefon ze swymi dwiema służkami, z Gertrudą i Zuzanną, które przybyły z Monte Carlo, gdzie jedna z nich odgrywała rolę swojej pani. I Dolores, przywdziewając swoje kobiece suknie, odrzucając jasną perukę, która ją do niepoznania zmieniała, zeszła na dół, złączyła się z Gertrudą i udała, że i ona też dopiero przybyła, nie wiedząc nic o zaszłym nieszczęściu.

Komedyantka niezrównana, odgrywała rolę niepokieszonej małżonki. Litowano się nad nią. Płakano nad nią. Któżby ją podejrzewał?

I wtedy zaczęła się ta wojna z nim, ta barbarzyńska, niestychająca wojna, którą z kolei prowadziła przeciw panu Lenormand i przeciw księciu Sernin — leżąc dnia i całymi na szeszlunku, chora i mdlejąca, za to nocami goniąc drogami, niezmordowana, straszna...

I te piekielne intrygi i machinacje... Gertruda i Zuzanna, współniczki steroryzowane, niewolniczo poddane... Porwanie starego Steinwega... A za tem cały szereg zbrodni. Utopienie Gourela. Zabójstwo Gertrudy. Altenheim, brat własny, zasztyletowany. O! ta nieubłagana walka w podziemiach willi pod Glicyniami, niewidoczna praca potwora w ciemnościach, jakżeż to wszystko jasnym się teraz stało!

To ona zdarła mu maskę księcia, ona go denuncjowała, ona go do wzięcia wtrąciła, ona krzyżowała jego plany, wydając miliony dla wygrania bitwy.

I dalsze wypadki... niknie Zuzanna, zabita Gertruda. Steinweg zamordowany! Izilda, rodzona siostra zamordowana!

— O okropności! o zgrozo! — szeptał Lupin w przypływie obrzydzenia i nienawiści.

Nienawidził tej wstrętnej istoty. Chciałby ją zmiażdżyć, zniszczyć... I gniotąc ją nienawistnym uściskiem stalowych kleszczy swych palców, nieruchomy, zmartwiał nie widział, że słaby brzask świtu miesza się już z cieniami nocy.

— Dolores... Dolores... — szeptał z rozpaczą.

Nagle odskoczył, dysząc z trwogi. Czy mu stanął słupem. Co to? Co to jest?... Co znaczy to wstrętne uczucie zimna, które zmroziło mu palce?

— Oktawiuszu! Oktawiuszu! — wołał, niepomny nieobecności szofera.

Pomocy! Pragnął pomocy, pragnął, by go kto uspokoił, by mu dopomógł. Trząsł się ze strachu. Ach, ten chłód, ten chłód śmiertelny, który poczuł. Czyż to być może?... A więc w tym tragicznym momencie, on sam, własnymi zaciśniętymi palcami...

Najwyższym wysiłkiem zadał sobie przymus i spojrzał. Dolores leżała nieruchoma.

Padł na kolana i przyciągnął ją ku sobie.

Nie żyła.

Pozostał czas jakiś w odrętwieniu i już jakby nie czuł bólu. Nie cierpiał. Nie było już w nim ani gniewu, ani nienawiści, ani żadnego wogóle uczucia. Było tylko jakieś tepe osłupienie, uczucie człowieka, którego ogłuszone uderzeniem maczugi i który sam nie wie, czy żyje jeszcze, czy myśli, czy też igraszką jest sennej zmyry.

A poprzez to wszystko miał wrażenie, że stał się jakiś akt sprawiedliwości i ani przez mgnienie oka nie przyszła mu myśl, że to on zabił...

Nie, to nie on... To było coś poza nim i poza jego wolą. To los, to nieobłąkane przeznaczenie spełniło dzieło sprawiedliwości, zniszczyło istotę szkodliwą.

W ogrodzie, za oknami śpiewały już ptaki. Życie budziło się wśród starych drzew, które wiosną rozwijała. I Lupin, budząc się z odrętwienia, poczuł powstającą w duszy nieokreśloną, niedorzeczną litość nad tą nieszczęsną kobietą — ohydą, to prawdą, zbrodniczą, to prawdą — lecz taką młodą jeszcze, a wydartą życiu.

I pomyślał nad tem, jakie ona męki znosić musiała w chwilach przytomnych, gdy wracając do rozumu, miewała wizje swych okropnych czynów...

— Niech mnie pan broni! Niech mnie pan osłania! Taka jestem nieszczęśliwa! — błagała.

Przeciwko samej sobie prosiła, by ją bronił, przeciwko tym instynktom drapieżnego zwierza, przeciw temu potworowi, który w niej mieszkał i kazał zabijać, wciąż, zawsze zabijać...

— Czy zawsze? — stawiał sobie Lupin pytanie.

I przypomniał sobie ów wieczór przedwczorajszy, gdy nad wrogiem swoim nieubłagany, niezmordowany, stała z podniesionym sztyletem, a jednak go nie zabiła... Nie, nie zabiła go, ulegając tym razem uczuciom silniejszym, niż przyrodzone okrucieństwo, niejasnym uczuciom sympatii i podziwu dla tego, który tak często ją opanowywał.

— Nie, nie zabiła go tym razem. A oto z niezrozumiałego wyroku przeznaczenia, to on właśnie zabija ją!

— Zabiłem — powtarzał sobie, drżąc od stóp do głów — ręce moje zgładziły żyjącą istotę, a tą istotą żyjącą jest Dolores!... Dolores... Dolores...

...

Biały dzień zaskoczył go, siedzącego przy umarłej, tonącego we wspomnieniach i w zadumie, podczas gdy wargi od czasu do czasu szeptały rozpaczyliwie to jedno imię: Dolores...

Trzeba jednak było działać, a w rozterce myśli nie wiedział, jak działać, od czego zaczynać...

— Przedewszystkiem zamknę jej oczy — pomyślał.

Szklane, pełne nicości, piękne te złotawe oczy miały i teraz jeszcze ów wyraz melancholijnej słodyczy, który im tyle uroku dodawał. I te oczy — miały być oczyma potwora? Mimowoli, wobec nawet nieubłaganej rzeczywistości, Lupin nie mógł połączyć w jedno dwóch istot, których obraz dla niego był czemś tak różnym...

Szybko pochylił się nad nią, zamknął te o długich jedwabistych rzęsach powieki i nakrył zasłoną biedną, wykrzywioną twarz.

I wtedy wydało mu się, że Dolores stała się dalszą, nieobecną i że teraz tamten, ten czarny, nieznany, leżał tuż przed nim, w ciemnym swym ubraniu, w szacie mordercy.

Ośmielił się ruszyć go, dotknąć jego ubrania.

W wewnętrznej kieszeni znalazł dwa portfele. Wziął jeden z nich i otworzył.

Znalazł najpierw list z podpisem Steinwega. List ten zawierał te słowa:

„Jeżeli umrę, zanim będę mógł odkryć straszną tajemnicę, proszę to wiedzieć, że morderczynią mojego przyjaciela Kesselbacha jest jego żona, prawdziwego nazwiska Dolores de Malreich, siostra Altenheima i siostra Izildy.

„Litera L. M. odnoszą się do niej. Kesselbach nigdy poufałe nie nazywał żony swej Dolores, bo to imię oznaczała ból i żalobę, ale Letycya, gdyż to oznacza radość. L. M. — Letycya de Malreich — to były litera, które oznaczały wszystkie podarki, którymi ją darzył, i tak papierośnice, znalezione w Palace-Hotel, własność pani Kesselbach. W podróży bowiem swoich nauczyła się palić.

Letycya! Była ona istotnie radością jego przez ciąg lat czterech, czterech lat kłamstwa i obłudy, w czasie których obmyślała śmierć tego, co kochał ją z taką dobrocią i zaufaniem.

Może powinienem był odezwać się wcześniej. Brakło mi odwagi, przez pamięć na starego przyjaciela mego Kesselbacha, którego imię ona nosiła.

A zresztą bałem się... W dnin, w którym zro-

zumiałem prawdę, w Pałacu Sprawiedliwości, czytałem w jej oczach wyrok śmierci dla siebie.

Czy mnie słabość moja ocali?...

— Więc i on także! — pomyślał Lupin — i on także... i jego też ona zabiła!... Ale bo też, dalibóg, wiedział za wiele!... Pierwsze litera... to imię Letycya... potajemny zwyczaj palenia...

I przypomniał sobie ostatni wieczór, ten zapach tytoniu w pokoju.

Zaczął dalej przeglądać zawartość portfela. Były tam urywki listów, cyfrowanym pismem, oddane prawdopodobnie Dolores przez jej współników podczas spotkań o zmroku...

Były tam także adresy na karteczkach, adresy szwaczek i modystek, ale też i adresy nor jakichś i wątpliwych hoteli... I różne imiona, w pośród tych dziwaczne, jak Hektor Rzeźnik, Armand de Grenelle, Chorowity...

Nagle natrafił na jakąś fotografię. Spojrzał na nią... I jak sprężyną tknięty, puszczając portfel, wypadł z pokoju, wypadł z pawilonu i wybiegł do parku.

Poznał portret Ludwika Malreicha, więźnia z Santé.

I wtedy dopiero, dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że stracenie odbyć się miało nazajutrz...

A skoro tam tym, tym mordercą była Dolores, przeto Ludwik Malreich nazywał się rzeczywiście Leon Massier i był niewinny.

Niewinny? A te dowody, znalezione przy nim, listy cesarza i wszystek obciążający go materiał dowodowy?

Lupin przystanął na chwilę. Paliło mu się w głowie.

— O! — zawołał — ja sam zaczynam od zmysłów odchodzić... Ale tu działać trzeba... jego jutro stracą... jutro... jutro nad ranem...

Wyjął zegarek.

— Dziesiąta... Ileż mi godzin potrzeba, by stanąć w Paryżu?... Tak, prędko... prędko muszę tam być... A dziś wieczór jeszcze muszę tak wszystko urządzić, ażeby powstrzymać... Ale co ja zrobić mogę? Jak dowiedzieć niewinności?... jak powstrzymać wykonanie wyroku?... Mniejsza o to! Już na miejscu znajdę sposób... Dalej! dalej!

...

Pędem wbiegł do pałacu i wołał od progu:

— Piotrze! Gdzie jest pan Piotr Leduc? Ach, jesteś... Słuchaj...

Zaciągnął go na bok i głosem urywanym, rozkazującym mówił:

— Słuchaj, Dolores tu już niema... Tak, pilny wyjazd... wyjechała dziś w nocy moim samochodem... I ja także wyjeżdżam... Bądźże cicho... niema chwili do stracenia... Odpraw, bez żadnych tłumaczeń, wszystką służbę... Tu masz pieniądze. Trzeba, żeby za pół godziny zamek był opróżniony. I żeby nikt tu nie wracał, zanim ja nie wrócę! Ani ty nawet!... nie wolno ci wracać. Później ci to wytłumaczę... ważne powody... Masz, zatrzymaj klucz, czekaj na mnie we wsi...

I nie czekając dłużej, wybiegł.

W dziesięć minut później odnalazł Oktawiusza. Wskoczył do samochodu.

— Do Paryża! — rozkazał.

II.

Podróż była jedną karkołomną, śmiertelną, piekielną jazdą na łąb, na szyję.

Lupin sam powoził. Za nim siedział drżący, posiniąły od strachu Oktawiusz.

— Zdażę, bo zdażyć muszę — powtarzał Lupin. — Niech się co chce dzieje.

I myślał o tym człowieku, który zginie, jeśli on nie zdaży, o tajemniczym Ludwiku Malreich, tak zagadkowym ze swym upartym milczeniem i nic nie wyrażającą, martwą twarzą. I wśród turkotu drogi, wśród szumu gałęzi drzew, które huczały, jak wzburzone fale, Lupin starał się znaleźć wyjaśnienie tych zagadek. I wytłómaczenie krystalizowało się zwolna w jego umyśle, logiczne, prawdopodobne, pewne — mówił sobie — od czasu, gdy poznał okropną prawdę i gdy zaczynał pojmywać sposoby, cele i zamiary tej strasznej obłąkanej.

— Tak, tak, to ona uknuła przeciw Malreichowi najokropniejszą intrygę. Czego ona chciała? Chciała zaślubić Piotra Leduca, którego miłość zdobyła, chciała panować w państewku, z którego wyszła wygnanką. Cel był dostępny, mogła go osiągnąć. Istniała tylko jedna przeszkoda... ja — ja, który od tygodni i tygodni bezprzestannie stawa-